

Olga Annenko
Ta cholerna gorzka prawda¹

Przekład z ukraińskiego Iriny Lappo

1

Przed kamerą stoi Jerzy ubrany w kobiecą suknię i perukę. Wciska przycisk „Zapisz”

JERZY Ludzie zakochują się błyskawicznie. Pięć sekund i już. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Bam! (patrzy na zegarek) Pięć sekund! Czujesz to „bam”?

Nazywam się Jerzy. Gdy byłem mały, marzyłem, by nauczyć się mowy delfinów. Pracuję jako taksówkarz. Sukienkę, co mam na sobie, nazywam „słodkie kłamstewko”, ale przysięgam, nie będę kłamał. Obiecuję mówić prawdę, tylko prawdę i nic poza prawdą. I niech dopomoże mi...

Dzwoni komórka, Jerzy wciska przycisk „pauza”.

JERZY *(do słuchawki)*. Jestem zajęty, skarbie! Pogadamy później, ok? Buzi.

Wyłącza telefon.

JERZY Palić mi się chce, ale rzuciłem...

Ciężkie westchnienie. Wciska „Zapisz”.

JERZY Jestem zmęczony podwójnym życiem. Całe to kluczenie, kłamstwa, strach, że przyłapią mnie, zdemaskują. Tak, jestem tchórzem. Tak, rozpaczliwie boję się prawdy. Może dlatego, że w dzieciństwie miałem jej za dużo. Chodzi o dziadka.

Kiedy miałem cztery lata, powiedział mi:

– Jerzy, nie ma żadnego Świętego Mikołaja. Cokolwiek sobie wymarzysz i zażyczysz, to i tak rano pod choinką będzie sweterek.

Gorzka prawda!

Na gwiazdkę zażyczyłem sobie sweterek.

Kiedy miałem osiem lat, dziadek powiedział:

– Twój ulubiony pies nie uciekł, jak powiedziała babcia. Sirko zmarł na niewydolność nerek, więc pochowałem go za płotem.

Dziadek pokazał mi niewielkie wzniesienie.

Gorzka prawda!

Przystroiłem grób kwiatami.

Miałem jedenaście lat, kiedy dziadek wykrzyczał ze złością:

¹ Monodram został nagrodzony na festiwalu monospektakli *Batumi International Monodrama Festival 2020*.

– Tata nie wyjechał na saksy, jak mówi babcia. Zabił człowieka, czeka na sąd i pójdzie do pierdła.

Tego wieczoru dziadek zabrał mnie do aresztu śledczego, miesiąc później – do sądu, a dwa miesiące później – do więzienia.

Gorzka prawda!

Słona jak łzy. Albo jak krew. Kiedy ją słyszysz, mocno zaciskasz zęby, zagryzając policzek, potem to długo się goi, jątrzy, przypomina o sobie.

Zdołem gorzką prawdę obfitymi łzami, a ona rosła we mnie, przebijając łodygami moje wnętrzności. Babcia tuliła mnie, głaskała po głowie, mówiła: „Lepsza gorzka prawda, niż słodkie kłamstwo”.

Wtedy myślałem, niech wszyscy diabli porwą tę prawdę, i chciałem kłamać bezwzględnie i desperacko!

– Czy umyłeś ręce?"

– Jasne!

– Przygotowałeś się do testu?

– Owszem!

– Kochasz mnie?

– ...

Miała na imię Tamara. Była piękna i mnie chciała.

– Kocham cię, Tamaro!

Nie kochałem jej, ale miałem 18 lat, a poza tym wierzyłem, że kłamstwo zrobi ten świat lepszym. Spotykaliśmy się z Tamarą przez trzy miesiące, tylko u niej, tylko w ciągu dnia, póki pewnego dnia nie powiedziała:

– Niedługo przyleci do nas bocian!

– Po co? By osrać moje życie?!

Tamara planowała przyszłość i marzyła, a ja piłem. Wybierała suknię ślubną – piłem. Myślała o przeprowadzce – piłem na umór, bo wiedziałem, że nie chcę tego dziecka.

Tego dnia odpoczywaliśmy nad rzeką.

Świeciło słońce, Tamara marudziła:

– Nie słuchasz, co do ciebie mówię!

Słyszałem:

– Nie ma Świętego Mikołaja!

Tamara dalej robiła mi dziurę w brzuchu:

– Nie myślisz o przyszłości!

Słyszałem:

– Twój pies nie żyje.

Tamara tłukła swoje:

– Nie kochasz mnie!

Słyszałem:

– Twój ojciec powiesił się w więzieniu, wszystko przez tą prawdę.

Wkurzony skoczyłem z wieży do wody. Ona się zdenerwowała i skoczyła za mną.

Nie myślała, miała tylko 18 lat.

Impuls! Plusk. Potem krzyk:

– Dzwon po karetkę!

Usłyszałem:

– Za chwilę zostaniesz ojcem.

Osiem godzin później zostałem ojcem sześciomiesięcznej córki. Ważyła mniej niż kilogram, był to zły znak.

Uprzedzono nas:

– Organy mogą być nedorozwinięte.

Straszono nas:

– Płuca mogą się nie otworzyć.

Przekonywano nas:

– Niech państwo zostawią toto w szpitalu. To będzie warzywko.

Cholerna gorzka prawda!

Tamara nie miała dziadka, który od samego dzieciństwa kropla po kropli dzień w dzień sączył jej do ucha trującą prawdę. Tamara się przestraszyła:

– Czemu milczysz? Zostawiamy ją, co? Nie damy rady!

Patrzyłem na Tamarę i myślałem:

– A gdybym zamówił na gwiazdkę nie sweterek, a samolot? Może dostałbym samolot?! Może mój dziadek to po prostu stary pieprzony pryk?

Słońce prażyło, Tamara truła. Milczałem.

– Nie możesz zadbać nawet o siebie!

– Zgadza się. Nie mogę! Gorzka prawda.

Poszedłem, by popatrzeć na nią na pożegnanie. Małe stworzonko w boksie.

Pielęgniarka uprzedziła:

– Nie wolno brać jej na ręce!

Ucieszyłem się.

Od razu przypomniałem, jak w drobny mak stłukłem kubek dziadka. Wiele innych delikatnych rzeczy, również – w drobny mak. Nie chciałbym ją też – w drobny mak.

Jeśli ją zostawię, to jednak zniszczę? Podam jej zatrutej prawdy? Ile jej tej trucizny trzeba? Nie waży nawet kilo...

Przypomniałem o „płucach”, że może to warzywko, nie pomogło...

Na imię dałem jej Wiktorcia.

– Idioto! – krzyczał dziadek, grożąc, że przepisze swój dom na brata.

Powtarzałem w kółko:

– O to właśnie prosiłem na gwiazdkę!

Wkurzony dziadek gotował się ze złości. Wrzeszczał:

– Wynocha z mojego domu! Won!

W kółko twierdziłem jedno:

– O to właśnie prosiłem na gwiazdkę!

Dziadek się zrobił czerwony na twarzy i chciał zdzielić mnie laską.

Okazało się, że dziadek ma serce. Okazało się, że serce pracuje niestabilnie. Nie wiedziałem, jak zmiękczyć jego chore serce, karetka nie zdążyła. Pochowaliśmy dziadka na starym cmentarzu. Babcia zmarła miesiąc później, nie zostało nikogo, kto by mnie pocieszył, głaszcząc po głowie.

Wsiadłem do taksówki, powiesiłem huśtawkę na drzewie, kupiłem wózek.

Słońce prażyło, Tamara truła, Wika rosła.

Wciąż nurtowało mnie pytanie: kiedy wreszcie będzie to szczęście?

Kasy brakowało. Wika się uśmiechała. Tamara milczała.

Wciąż nurtowało mnie pytanie: a może to właśnie jest szczęście?

Nastąpiła zima. Wika powiedziała „tato”. Tamara się obraziła i odeszła.

– No i jak sobie poradzimy? – zapytałem trzymając małą na rękach.

W odpowiedzi zsiękała mi spodnie. Śmiałem się, potem płakałem, znów się śmiałem. Tak zaczęło się nasze wspólne życie.

2

JERZY

Zostałem samotnym ojcem, jako taksówkarz brałem tylko tych pasażerów, którzy jechali sami, bo na siedzeniu obok w dziecięcym foteliku woziłem swoją Wikę. Tak nam minęły pierwsze trzy lata. Dla niej to było radosne poznawanie świata, dla mnie – ciągłe zmęczenie, apatia, brak życia osobistego.

Potem było przedszkole. Dla niej – rysunki, ludziki z żołądki, świętowanie z okazji jesieni-zimy-wiosny, dla mnie: taksówka – dom – taksówka.

No i te spojrzenia!

Mam na myśli pełne współczucia spojrzenia. Tak umieją patrzeć tylko kobiety. Te spojrzenia prześladują takich jak ja: w sklepie, na placu zabaw, w przedszkolu – wszędzie! Współczują, współczują, współczują.

Z litością w oczach pytają:

– Pańska żona umarła?

Kłamię, że umarła – na raka, podczas porodu, na zawał. Czasami kłamię, że wyskoczyła z okna czy zapłała się na śmierć.

Wydają jęk współczucia i ofiarują pomoc:

- Jeśli Pan chce, będę Panu gotowała, co?
- Jeśli Pan chce, oddam Panu stare rzeczy mojej córki, co?
- Jeśli Pan chce, oddam się Panu, co?

Ten seks z litości proponują najchętniej.

Jest to swego rodzaju pułapka, bo kobiety uważają, że samotny ojciec nie może powiedzieć „nie”. Nie ma prawa. Zaczyna się więc ta wymuszona bliskość, która oddała bardziej niż jakakolwiek wojna. Nie wiem, o co walczyły na tej wojnie. Walczyłem z prawdą. Z prawdą o sobie.

Dzwoni komórka. Jerzy wciska przycisk „Pauza”.

JERZY (do komórki). Amiranie, bracie, odbierz dziś Wikę ze szkoły! Jeśli będzie płakała, kup jej lody! Dziękuję! Ściskam.

Odsuwa komórkę.

JERZY (*do siebie*). Słodkie lody zamiast gorzkiej prawdy. (*do słuchawki*) Zastanawiam się, może znów zacząć palić?.. Nie, jeszcze wytrzymam. Wika nie lubi, kiedy palę.

Wraca do kamery, wciska przycisk „Zapisz”.

JERZY Miałem dość tego seksu z litości, dołączyłem więc do klubu samotnych ojców, w którym można było nie kłamać. Tam poznałem Amirana. Ma bliźnięta. Jego żona przedawkowała. Wydawało mi się: oto jest życie, w którym jestem ja, moja córka, Amiran ze swoim Danielem i Natellą, a dookoła – zakłamanym świat z tymi wszystkimi „kobietami”, które są z tobą z litości.

Przestałem ufać tym istotom płci żeńskiej. Zacząłem nawet uważniej przyglądać się córce, zadając się pytaniem:

- Czy też będzie taka?

Wtedy nie wiedziałem, że sam założę sukienkę. Jeszcze niczego się nie domyślałem.

Stało się to 23 sierpnia. Wiktoria miała prawie siedem lat, bawiła z Natellą na huśtawce.

Amiran zapytał:

- Zapisaleś Wikę do szkoły?
- ...Zapomniałem!

Biegnę do najbliższej szkoły, błagam dyrektorkę, tłumaczę tragicznie:

- Jestem samotnym ojcem!

Współczuje, po policzku spływa łza. Wychodzę na korytarz, by nie utonąć w tym oceanie litości.

Dyrektorka przez szloch kieruje mnie dalej:

– Niech Pan idzie do sali numer dwanaście, tam akurat powinna być wasza nauczycielka.

Idę do klasy. Przygotowałem już „zdartą płytę” ze swoją historia: „matka nas porzuciła, odeszła, wychowuję dziecko sam, jest mi bardzo ciężko”.

Przygotowałem się do aktu litości prosto na ławce szkolnej.

Nie byłem przygotowany do miłości.

Ludzie zakochują się błyskawicznie. Pięć sekund i już. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Bam!

3

JERZY.

Na imię miała Maria. Nauczyła córkę sztuki czytania, mnie – sztuki zaufania. O tym marzyłem: jeszcze w dzieciństwie, jeszcze przed chorobą mamy – o uczuciu szczęścia. Siedzieliśmy nad morzem, wachałem rękę mamy i myślałem: czemu mama jest taka ciepła i miękka? Tamtej jesieni mój raj się powtórzył.

Amiran mówił, że jesteśmy do siebie podobni. To dobrze nam wróży! Długie wspólne życie!

Słońce świeciło, a Maria nie truła – nig-dy!

Wika mówiła do niej „Marysia”.

Mówiłem do niej „Kochanie”.

Wika chciała nazwać ją mamą.

Chciałem nazwać ją żoną.

A jej się zachciało na wycieczki.

Maria powiedziała:

– Pojadę z przyjaciółkami, trochę się zabawię!

– Po co ci ta wycieczka! Pięćset kilometrów w jedną stronę!

Uśmiechnęła się:

– Potrzebuję nowych wrażeń.

Nie umiałem odmówić. Robiło mi się słabo i słodko od jej uśmiechu. Jej – od moich pocałunków. Wiktorii – na myśl, że jesteśmy rodziną.

Byliśmy rodziną.

Telefon w nocy.

Ktoś zimno powiedział do słuchawki:

– Wywrócił się autobus turystyczny. Zginęło siedemnaście osób, trzy przeżyły, jedna jest w komie.

Ona jest w komie. Maria.

Nie pamiętam, jak dotarłem do szpitala. Rurki, kroplówki, operacja. Korytarz. Czekam na twardym krześle.

Nienawidzę siebie.

Nienawidzę jej.

Nienawidzę wycieczki.

Na twardym krześle w korytarzu szpitalnym postanowiłem: bierzemy ślub i żyjemy długo i szczęśliwie. Żadnych nowych wrażeń!

Na twardym krześle w korytarzu szpitalnym rozpaczliwie czepiam się nitki, na której wisi całe moje szczęście.

A potem pojawiło się „ale”!

Z sali operacyjnej wyszedł chirurg:

– Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, ale...

Ciach – i przeciął nitkę, i odleciało w siną dal moje szczęście. Została tylko gorzka prawda.

Dlaczego w korytarzach szpitalnych nie ma worków treningowych? Walnąłbym. Albo mat gimnastycznych! Upadłbym. Siedziałem na twardym krześle, milczałem i nienawidziłem wycieczki. Co są winne wycieczki? Nic. W rzeczywistości nienawidziłem siebie.

Tylko siebie.

Za to, że pozwoliłem jej jechać.

– Pan musi odpocząć. Niech Pan wraca do domu.

Wątpię, by pielęgniarka przejęła się stanem mojego zdrowia. Pewnie po prostu nie mogła patrzeć, jak siedzę na twardym krześle i nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa.

Pojechałem do domu.

W domu była Wika, która ciągle pytała:

– Gdzie jest Marysia? Czy u niej wszystko w porządku? W porządku? Czy ona jest w porządku? Wszystko ok, no nie?

Milczałem.

– Tato!

Milczałem.

Wtedy Wika się rozplakała.

– Marysia umarła? – zapytała mnie córka.

Nie mogę, jak płacze!

– Umarła?!

Gdy Wika płacze, jestem zdolny do wszystkiego.

Do każdego kłamstwa.

Byle nie łyzy.

Byle nie te cholerne gorzkie łyzy, od których kiszki się skręcają.

– Musi zostać w szpitalu! – kłamię.

Ja!

Który zamówił pod choinkę sweterek.

Ja!

Który chciał nazwać Marię żoną.

Który będzie musiał powiedzieć o śmierci ukochanej jej matce, zawieźć pogrzebowe ubrania do kostnicy, przygotować dokumenty do pochówku.

Ja!

Który nie będzie kłamał córce!

Ja!

Który kłamię!

Przeniosłem Wikę do innej szkoły, chroniąc ją przed koleżankami Marii. Przed spojrzeciami pełnymi współczucia. Przed cholerną prawdą.

– Marysia nadal jest w szpitalu! Jest w śpiączce! Jedz, córeczko, słodkie kłamstwo. Czy smakuje? Pyszności, no nie?

Im dalej, tym gorzej.

Wika błagała:

– Tato, czy mogę odwiedzić ją w szpitalu?

Świeciło słońce, Wika truła – charakterem córka wdała się w matkę.

Szukałem kolejnych wymówek, by nie dopuścić do jej wizyty, jednak nie odpuszczała:

– Czy Marysia zmarła?

– A skąd!

– Tak powiedziała ta ciocia, która przychodziła do nas, by przygotować obiad.

No właśnie – tak wygląda to współczucie w rzeczywistości!

– Marysia nie umarła! – powiedziałem stanowczo.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

Dlaczego wciąż kłamię?

– Zobaczysz sama! – Uspokoilem córkę. – Jutro razem pojedziemy do szpitala.

Zobaczysz ją na własne oczy. A teraz chodźmy do Amirana! Pobawisz się z Natellą!

Dzieci się bawiły, a myśmy pili do rana! Nic innego nam nie pozostało. Bo dalej, kurwa, będzie tylko gorzej.

4

JERZY.

Następnego ranka było zimno. Do szpitala idziemy szybkim krokiem. Przy sobie mam torbę. W torbie jest kobieca peruka oraz sukienka, w której zginęła Marysia. Wyprałem ją starannie od krwi i schowałem do szafy na pamiątkę.

Jerzy poprawia na sobie sukienkę. Jest to suknia „słodkie kłamstwo”.

W szpitalu już wszystko załatwiłem, na oddziale założyłem sukienkę i perukę. Pielęgniarka podłączyła mnie do respiratora, rurki przykleiła taśmą w taki sposób, by prawie całkiem przestoniły mi twarz, podłączyła kroplówkę z solą fizjologiczną i zawołała Wikę.

Leżałem i modliłem się:

– Niech uwierzy w to kłamstwo. Nie przypadkiem przecież piliśmy z Amiranem do szóstej rano?! Nie przypadkiem przecież dokładnie o szóstej mnie olśniło, bo przypomniałem sobie jego słowa:

– Jesteście z Marysią podobni do siebie! To dobrze wam wróży! Długie wspólne życie!

Pielęgniarka zostawiła Wikę ze mną na pięć minut. Poczułem ciepłe łzy mojej córki na policzku, poczułem, jak wielka jest jej miłość, i zrozumiałem, że nie mam prawa odbierać jej tego!

Muszę kłamać!

No i się zakręciło: opłaty za salę, nowe wizyty, słodkie piekło.

Źle się czułem. Na początku myślałem, że to przez kłamstwo. Myliłem dni tygodnia, rzuciłem pracę, prawie nie gotowałem. Amiran doradzał, by zrobić badania, a Wika tymczasem składała żurawie.

– Po co ci tyle żurawi?

– Zrobię dziesięć tysięcy, i Marysia wyzdrowieje!

– Kto ci to powiedział?!

– Przeczytałam w Internecie!

– W Internecie...

Przyjechałem do Amirana. Na początku pił w milczeniu, a potem długo krzychał:

– W Internecie! Po cholere! Pisać coś takiego? Niech dorwę tego kłamczucha, obetnę mu ręce!

Jerzy wciska przycisk „Pauza”.

JERZY. Dosyć tego. Nie mogę tak dalej! Kogo okłamuję? Lubię palenie!

Pali długo, z nieskrywana przyjemnością, potem wciska przycisk „Zapisz”.

JERZY. To nagranie to chyba jedyna kropla gorzkiej prawdy w całym Internecie, w tej beczce śmieci i miodu. Nawiasem mówiąc, miód to zjedzony i wyrzuty przez pszczoły nektar! Oto kolejna prawda, o której nie chce się myśleć podczas jedzenia miodownika.

Nie sądzę, by ktokolwiek obejrzał to do końca.

Tę cholerną gorzką prawdę!

Bo opowieść o Marysi to jeszcze nie jest cała historia.

Problem tkwi we mnie.

Czuję się coraz gorzej.

Fizycznie.

Mówiłem już, że zrobiłem badania... Testy kosztowały kupę kasy, a na odpowiedź trzeba czekać w nieskończoność. Jeśli wyniki są pozytywne – ludzie płaczą z rozpaczy. Jeśli negatywne – ze szczęścia.

Płaczę z rozpaczy.

Znowu trafiła mi się gorzką prawdę, jak ziarnko pieprzu w zupie.

Pieprzony guz.

A tu jeszcze Wika i jej żurawie... Zrobiła już 9567 sztuk. Wierzy, że to uratuje Marysię. Nie wiem, co mam z tym wszystkim począć. Jak mam wskrzesić zmarłą? Albo przynajmniej nie umrzeć samemu!

Może mi pomogą leki, od których wypadają włosy i psują się zęby. Mówię – może pomogą! Ale gwarancji nie ma. Szanse są. Cóż, jeśli nie pomogą – umrę za rok.

Jakie wspomnienia zostawię po sobie?

Jest kilka opcji.

Martwy tata na 8 marca.

Martwy tata na dziewiąte urodziny.

Jeśli będę miał szczęście, i guz nie zabije mnie na wiosnę, córka otrzyma martwego tatę na Sylwestra.

Kiedykolwiek to się stanie, będzie gorzko.

Co mam począć?

Mam błagać Wikę, by zrobiła dla mnie te cholerne żurawie?

Czy mam wreszcie powiedzieć jej prawdę? Mam wysłać wiadomość w messengerze w otoczeniu uśmiechniętych buziek i kwiatuszków? Przy okazji dodam też, że nie ma żadnego Świętego Mikołaja. Pozbawianie latorośli złudzeń jest bowiem naszym rodzicielskim obowiązkiem.

Jerzy spogląda na zegarek, wciska pauzę, wybiera numer.

JERZY (do słuchawki). Wikuś, masz przerwę? Słuchaj, słonko, chcę z tobą pogadać o Marysi... To ważne!... Ile już? Dziesięć tysięcy?! O! Gratulacje! Jestem z ciebie dumny! Ja?.. Nie, nic nie chciałem... Po prostu pogadać. Naprawdę, skarbie! Buziaki.

Jerzy rozłącza się i płacze.

JERZY. Dziesięć tysięcy! Zrobiła to. Jutro Marysia zmartwychwstanie. Obudzi się ze śpiączki...

Ciężkie westchnienie, Jerzy wciska przycisk „Zapisz”.

JERZY.

Ludzie zakochują się błyskawicznie. Pięć sekund i już. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Bam! (patrzy na zegarek) Pięć sekund! Czujesz to „bam”?

Jestem wykończony chorobą. Jestem rozczarowany życiem. Duszę się w tym kłamstwie. Ale! Póki tu jestem – wyznam prawdę! Skończę ten film...

W moim życiu było tak mało miłości! Tyle co nic. Przez pierwsze trzy lata miałem miłość mamusi. Potem trochę kochała mnie babcia, a potem tylko przez trzy miesiące – Maria. Króciutkie było to moje szczęście. Wszystko, czego tak rozpaczliwie pragnę, to te pięć sekund i to bam! Zamiast tego tonę w oceanie wszechogarniającego kłamstwa, co chwila walczę z falami nowych odcieni prawdy.

Nazywam się Jerzy, jako dziecko marzyłem nauczyć się języka delfinów, teraz pracuję jako taksówkarz. Mam na sobie sukienkę, którą nazywam „słodkim kłamstwem”, ale nie kłamałem. Mówiłem prawdę, całą prawdę i tylko prawdę...

Jutro czeka na mnie Apokalipsa. Jutro dziesięć tysięcy żurawi wyleci z okna oddziału szpitalnego, a wraz z nimi umrze zaufanie mojej córki do mnie. Ponieważ nie jestem Chrystusem i nie mogę nikogo wskrzesić. Nie potrafię nawet siebie uzdrowić, a co dopiero innych... Mogę tylko kłamać.

Ale mam swoje „dziś”, siedzę tu przed kamerą i wyznaję, że nie chcę już kłamać. Ale tej cholernej gorzkiej prawdy też nie chcę!

Ponieważ nikt nie potrzebuje tej cholernej gorzkiej prawdy!

Bo tak naprawdę wszyscy potrzebujemy tylko jednej rzeczy – szczerzej, prawdziwej, cholernej miłości.

Jerzy wciska przycisk „Pauza”.

Koniec

25.09.2020